Nr. 6. We Lwowie dnia 5. lutego 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Młoda Polska i Stowarzyszenie ludu polskiego

przez

Bolesława Limanowskiego.

(Dokończenie).

Wiadomość o katuszach, zadawanych Konarskiemu, przejmowała zgrozą oficerów korpusu Giejsmara, który stał wówczas na Litwie. W korpusie tym było dużo Polaków i usposobienie ogółu oficerów było wolnomyślne. Sobarri (Kirkor) w »Obrazkach Litewskich« powiada, że istniało pomiędzy nimi stowarzyszenie rewolucyjne, a Korowajew był jednym z przewódców. Stowarzyszenie to postanowiło uwolnić Konarskiego, a plan był dobrze ułożony, lecz jeden z silnie skompromitowanych, chcąc uratować swoje życie, wydał Korowajewa, który się zajmował uskutecznieniem tego planu. Okrótne postępowanie komisji złamało dwie ofiary: Orzeszkę i Bylewskiego. Poczynili oni najszczegółowsze zeznania. Więzienia się zapełniły. Samych kobiet uwięziono kilkadziesiąt.

W lutym 1839 r. ogłoszono wyroki. Konarskiego skazano na rozstrzelanie. Napoleon Nowicki, Jerzy Brynk i Ignacy Rodziewicz, wysłani do ciężkich robót w Syberji. Mnóstwo osób popędzono tamże na osiedlenie. Wielu wysłano na Kaukaz, pomiędzy nimi dwóch uczniów uniwersytetu, poetę Tadeusza Ładę Zabłockiego i poetę białoruskiego Sawicza. Kanonik Trynkowski dostał w więzieniu obłąkania zmysłów i wysłany na Syberję, umarł tamże.

Dzień rozstrzelania Konarskiego 15/27 lutego 1839 r. zapisał się głęboko w pamięci Wilnian. Męczennik oprawców moskiewskich stał się patronem Litwy, utrzymując w niej wiarę w lepszą przyszłość; wiarę, że po wyrzuceniu najazdu zapanują w niej ludzkie, braterskie stosunki. Miejsce stracenia Konarskiego na Pohulance, było celem licznych pielgrzymek w pamiętnych latach ruchu narodowego od 1861 do 1863. Przytoczę tu opowiadanie Sobarriego, który był naocznym świadkiem rozstrzelania Konarskiego. Wspomniawszy, że dzień był piękny, i że tłumy zalegające ulice, żywo okazywały swe współczucie, i że na Pohulance wojsko utworzyło koło, opowiada dalej: »Skoro sanki wjechały do wnętrza koła i stanęły, Konarski pierwszy wyskoczył z sanek, a brzęcząc kajdanami, gracko i żwawo obiegł i pomógł ks. Lipińskiemu wysiąść z sanek. Poczem śmiałym a pewnym krokiem, z uśmiechem na twarzy, zbliżył się do sztabu i grzecznie witał swych katów. Kwietnicki podał mu rękę. Milczeli wszyscy. Śród tego grona byli ludzie zacni, jak jenerał Kwietnicki, pułkownik Bohdanowicz. Smętne też były oblicza wszystkich, a u nie jednego łza kręciła się w oku. Jeden Konarski miał uśmiech na twarzy, a nie było to udanie, albo brawura. Nie, ten wzrok był taki jasny, czoło takie pogodne, a na całem obliczu rozlana jakaś błogość. Zdawało się, że widzisz wieszcza w chwili największego natchnienia, który za chwilę zanuci pieśń zmartwychwstania«. Lucjan Siemieński umieścił w »Noworoczniku demokratycznym« (Paryż 1842), piękne opowiadanie p. t. »Pobyt na Litwie i ostatnie chwile Szymona Konarskiego«.

Mnóstwo osób uwięziono na Wołyniu, Ukrainie i Podolu. Odbył się nad nimi sąd wojenny w Kijowie. Skazano na szubienicę: Kacpra Maszkowskiego, Antoniego Beaupre'go, Piotra Borowskiego i Fryderyka Michalskiego, ojca narzeczonej Konarskiego. Na dziedzińcu w fortecy postawiono szubienicę, skazanych ustawiono pod nią, założono im na szyję stryczki i odczytano zmianę wyroku śmierci na kopalnie w Nerczyńsku. Zmiana ta była okrutna, i Maszkowski rzekł głośno: »przyjemniej mi było wchodzić, aniżeli schodzić z szubienicy!« Skazano jeszcze sto kilkanaście osób na wygnanie, a w tej liczbie było 9 kobiet, i pomiędzy niemi Ewa Felińska, która następnie opisała swoją podróż przez Syberję i pobyt w Berezowie.

W Królestwie kongresowem także zapełniły się w 1838 r. więzienia. Komisja śledcza w Warszawie, mająca prezydentem okrutnego księcia Galicyna, szła w zawody z komisją wileńską. Giller, który spotykał się na Syberji z badanemi przez tę komisję osobami, powiada: »Postępowanie z uwięzionymi było pełne gwałtu i barbarzyństwa. W czasie indagacji bito ich rózgami,

pomiędzy innymi i Wężyk został ochłostany; podsłuchiwano, głodzono, fałszowano podpisy i protokoły«. I pomiędzy więźniami w Warszawie okazał się człowiek słabego charakteru, który powydawał wiele osób. Wprawdzie nikogo nie skazano na śmierć, ale wyroki były okrótne. Gustawa Ehrenberga i Aleksandra Wężyka skazano na bezterminowe ciężkie roboty; Karola Podlewskiego, Konstantego Sawiczewskiego, Michała Olszewskiego, Gruszeckiego, Aleksandra Krajewskiego, Eugenjusza Zmijewskiego, Brochockiego, Balcewicza i Antoniego Wałeckiego na 5 lat. Nadto skazano wiele osób na zaludnienie w Syberji i odsiedzenie w twierdzy.

Czy korzyści otrzymane przez Stowarzyszenie »Ludu Polskiego« równoważyły te straty, jakie naród poniósł skutkiem zemsty najezdców? Pytanie to możliwe jest tylko w ustach stańczyków, albowiem naród, który nie zrzeka się swojej niepodległości, musi dążyć do tego celu, jakkolwiek wielkie byłyby jego straty. Podnosimy jednak to pytanie, które organy stańczykowskie w ostatnich czasach stawiały, i postaramy się na nie odpowiedzieć.

Straty były ogromne. Wielu ludzi dzielnych zniszczono cieleśnie i majątkowo. Ogólno-narodowemi stratami były: Rzeczpospolitą krakowską przez 4 lata zajmowały wojska austrjackie i ograniczono w niej wolność. Zamknięcie akademji medycznej w Wilnie i zamknięcie uniwersytetu w Kijowie, chociaż ten po roku otworzono. Inne wielkie straty ogólno-narodowe były następstwem polityki podbojowej i reakcyjnej. Po roku 1863 przez lat 16 w zaborze rosyjskim nie było żadnych spisków, a właśnie w tym czasie zagrożono nawet fundamentom bytu narodowego. Wreszcie przykład Finlandji i prowincji nadbaltyckich świadczy, że program niwelacyjny zastosowano i tam, chociaż żadnych spisków i powstań nie było.

Stowarzyszenie »Ludu Polskiego« w czynności swej nie wyszło z perjodu propagandy, a więc istotnie nic więcej nie robiło nad to, co dzisiaj robią socjaliści w Galicji i w zaborze pruskim. Istniejąca jednak konstytucja w tych krajach czyni te działania możliwemi, i jakkolwiek rządy przeszkadzają tej pracy zakazami i prześladowaniem, to jednak nigdy ono nie może przybrać tych rozmiarów, jakie przybrało np. w Galicji w 1837 i 1838 r. Wreszcie, jeżeli porównamy kary, jakie spadają w Galicji i w zaborze rosyjskim za te same niemal czynności, to zobaczymy, jaka ogromna pomiędzy niemi różnica. Stąd widzimy, że surowość kar właśnie świadczy, że tam, gdzie panuje despotyzm, trzeba okrywać tajemnicą nawet te prace, które gdzieindziej otwarcie i jawnie się odbywają. A ztąd przychodzimy do wniosku, że gdyby się miano oglądać na kary i straty, to należałoby się wyrzec wszelkiej pracy tam, gdzie ona jest najpotrzebniejsza, bo właśnie tam, gdzie tłumi się wszelka myśl i wola.

Zaznaczyłem już poprzednio wielkie moralne znaczenie Stowarzyszenia »Ludu Polskiego«. Fryderyk hr. Skarbek, sam przeciwny ruchom spiskowym, złożył świadectwo, że ten ludowy ruch, propagowany przez spisek Stow. L. P., powstrzymał szerzenie się nikczemności i służalstwa w klasie urzędniczej. Wiesiołowski zwrócił uwagę na to, że spisek przyczynił się wielce do pogłębienia patrjotyzmu, a Józefczyk, że podnosił zapał do nauki i oświaty.

Szczególnie na Litwie i Rusi, »gdzie lud dźwigał największe brzemię niewoli, i gdzie panowie od feudalizmu nie odłączali swoich patrjotycznych uniesień«, Konarszczyzna miała ogromny wpływ i najmocniej zapisała się w pamięci mieszkańców. Tam ona zorała silnie niwę społeczną. Wszystko, co było szlachetniejszego w klasie szlacheckiej, drgnęło uczuciem ludowem. Zwłaszcza to się odbiło silnie na młodzieży obu płci. Przez czas pewien panował sentymentalizm ludowy. Zaznaczył się on w literaturze zbieraniem pieśni ludu, badaniem jego zwyczajów, poznawaniem niedoli. W tej to ciepłej atmosferze spotężniał talent Kraszewskiego i stał się w społeczeństwie ważną dźwignią ku postępowi. Przemawiając do ludu, uczono się jego języka i pisano w nim. Takim białoruskim poetą był Sawicz, który następnie, uciekłszy z Kaukazu, osiadł na Rusi pomiędzy włościanami, jako cyrulik Eligi i swojem życiem i uczynnością zjednał ich miłość i szacunek. I w Galicji literatura zwróciła się ku ludowi. Jeden ze spiskowców, Żegota Pauli, ogłosił: »Pieśń ludu polskiego i ruskiego w Galicji«, które krytyka o wiele wyżej stawia od zbioru Wacława z Oleska (Zaleskiego). I Oskar Kolberg, który takim niezmordowanym stał się zbieraczem pieśni ludowych, spotkał się z Konarszczyzną na Białej Rusi, gdzie był domowym nauczycielem i być może pod jej wpływem już wówczas zaczął badać poetycką działalność ludu. Z tego ducha ludowego, który zapanował w młodem pokoleniu, urosła wielka popularność autora »Krakowiaków«, Edmunda Wasilewskiego, albowiem odczuł on, że serce oczyszczone z samolubstwa brudu,

»Chociaż zziębnie dla siebie, zapłonie dla ludu.
I choć mu przyjdzie połknąć gorzki owoc w życiu,
Będzie błogie, spokojne, jak dziecię w powiciu,
Bo tylko szczęściem drugich, szczęście nasze kwitnie,
Bo tylko śniąc zbawienie, zbudzim się zaszczytnie«.

W tej atmosferze miłości ludu, rozwinęli swe skrzydła poetyckie: świeżo zmarły lirnik mazowiecki, Teofil Lenartowicz, Włodzimierz Wolski i Roman Zmorski. I zgrzytnęła nawet ostro nuta rewolucyjna. Odezwała się ona w Wielkopolsce. Ryszard Barwiński, patrząc jak chłop

ugina się pod jarzmem i mrze z głodu, zwraca oczy ku przyszłości:

»A tam ziemia obiecana
Bez tyrana i bez pana,
Pod zarządem Bożym,
Czeka nas za morzem
Krwi!
Za czerwonem morzem!
A tam ziemia obiecana,
Z burzanami po kolana,
Z chlebem, solą, zbożem
Czeka nas za morzem
Krwi!
Za czerwonem morzem!

Ludowy, republikański kierunek, który ogarnął wówczas wszystkie ziemie dawnej Rzeczypospolitej, odźwierciedlił się w »Historji Narodu Polskiego«, Jędrzeja Moraczewskiego, który — można powiedzieć — rozpoczął swoje badania od chłopów i poświęcił im obszerny artykuł w »Przyjacielu Ludu«, wychodzącym w Lesznie.

Ruch ten ludowy z Krakowa i Poznania szerzył się na Szląsk i w odległe Prusy i udzielał się Słowianom. Młodzież czeska w tym czasie odbyła pielgrzymkę do Krakowa i tam z młodzieżą polską zawarła śluby braterstwa. I na Rosjan silnie podziałały prześladowania ludowców polskich. Mówi o tem Bakunin w liście swoim do dziennika »La Réforme«, ogłoszonym w 1845 roku.

Stawiana przez emigrację kwestja włościańska zmuszała i rządy najezdnicze do zwrócenia na nią większej uwagi. W zaborze rosyjskim w dobrach skarbowych, grunta dworskie podzielono pomiędzy włościan, skasowano pańszczyznę i zamieniono ją na czynsze. Niezawodnie podniosłoby to ich byt materjalny, gdyby równocześnie nie zorganizowano nad niemi administracji biurokratycznej, która zdzierstwem swojem i dowolnością prześcignęła dawnych dzierżawców.

Kiedy w 1836 r. z Krakowem zerwał się łącznik emigracji, i kiedy wobec zajątrzających się stosunków w Europie zawiązała się na emigracji »Konfederacja Narodowa Polska«, komitet »Młodej Polski«, straciwszy nadzieję rozszerzenia swej organizacji, w dniu 6. lipca rozwiązał się, i członkowie jego oświadczyli się za Konfederacją, ponieważ w jej odezwie — jak powiadali — pojawiło się »pierwsze publicznie wzięte moralne zobowiązanie uwłaszczenia włościan«.

Z wystawy sztuk pięknych.

Nie kładę napisu »ze Salonu krakowskiego«, nie chcąc wystawie w Sukiennicach przysparzać pretensjonalności, o którą i tak Kraków na każdym kroku pomawiają, jakkolwiek z drugiej strony wystawa Tow. przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie, mogłaby z wielu względów do nazwy tej mieć słuszne prawo. Rościć zaś je miałaby choćby z tego tylko powodu, że sale jej gromadzą w ścianach swoich różnobarwną publiczność, zwłaszcza w niedziele, wieczorami, kiedy płonie światło elektryczne i wyborna muzyka pułkowa p. Hocka daje koncerty. Wystawa zamienia się wtedy istotnie w najprzyjemniejszy salon, gdzie spotykają się towarzystwa, damy prezentują swoje toalety, młodzież różnych wieków i zawodów nadskakuje im, wysilając mózgi na podtrzymanie rozmowy, obracającej się około najprzyjemniejszego tematu pod słońcem — obmowy bliźnich. O sztuce, o wystawowych pracach malarskich i rzeźbiarskich, rozmowy tam najmniej, ledwie ktoś okiem rzuci na nowe płótno lub dłużej się zatrzyma przed kawałkiem kunsztownie rzeźbionego marmuru.

Przyznam się, że razi mię to zbiegowisko ludzi wówczas w świątyni sztuki, przemienionej w salon dla gości, nic ze sztuką wspólnego nie mających, przesuwających się wśród nieśmiertelnych obrazów Grottgera i olbrzymich kreacji Matejki, z tem samem uczuciem co po linji A—B podczas »plac—muzyki«. Zebrania te jednak wieczorne na wystawie sztuk pięknych przyjęły się i należą dzisiaj do nieodłącznych osobliwych właściwości Krakowa, bez których już »przeciętny« krakowianin, czy krakowianka, obejśćby się nie mogli.

Kto jest prawdziwym miłośnikiem sztuk pięknych, tego zapraszam na krótki przegląd obrazów i rzeźb z sobą, w dzień powszedni, w południe. A widzieć jest co. Brak wprawdzie obrazów w wielkim stylu, kompozycji szerokich, lub płócien treści historycznej, przyjaciel sztuki jednak potrafi się lubować zarówno sceną rodzajową, portretem, widokiem każdym, jeżeli jest w nich prawda życiowa uwięziona, jeżeli jest na nich piętno wyciśnięte artystyczne.

Do takich zaś należą w pierwszej linji obrazy Juljana Fałata. Jest to malarz sławy europejskiej dzisiaj, a zdobył ją sobie prawdziwym talentem. Cokolwiek namaluje, jest wyborne. Pejzaż czy figura ludzka, głowa czy drzewo szerokoliściaste, chata czy zwierz dziki, wszystko rysowane i malowane z jednakową łatwością, zamaszyście i z taką pewnością siebie, że trudno zaprawdę znaleźć mi pomiędzy naszymi malarzami drugiego, którego pod tym względem obok

niego mógłbym postawić. Jakiż przepyszny jest np. ten niedźwiedź niesiony przez oszczepników z polowania! Ubity Miś ważyć musi sporo, bo pod zwieszonemi jego grubemi łapskami uginają się sążniste chłopy, grzebiąc się w grubym śniegu. Fałat, jest jak wiadomo akwarelistą, ten obraz jednak wymalował olejno, a po szerokiem kładzeniu farb, śmiałem traktowaniu figur znać majstra w każdem dotknięciu. Obok tego »Powrotu z polowania« wystawił Fałat szkice akwarelowe, widoki i główkę dziewczęcą, noszące wszystkie cechy wielkiego talentu.

W malowaniu portretów niewielu tylko naszych artystów dosięgło rzetelnej sławy i uznania. Portret, zdawałoby się rzecz najłatwiejsza — ileż jednak musi łączyć w sobie zalet rysunkowych, kolorystycznych, miary artystycznej, ile tchnąć musi weń życia i duszy malarz, ażeby nie był martwym, żeby oko coś mówiło i mówiło prawdę. Tej sztuki dokazać może tylko artysta, będący i psychologiem zarazem, nie mówiąc już o technice malarskiej, którą znać musi, jak wirtuoz tajemnice swoich skrzypiec, czy fortepjanu. Ze zmarłych Grabowski Jędrzej i Leopolski, z żyjących Rodakowski i obecnie Pochwalski posiedli liść wawrzynowy w tym dziale malarstwa. Inni, nie wyłączając nawet Matejki, nie zdołali stanąć na tej wysokości, chociaż kusił się niejeden, a niemal nie ma artysty, któryby choć jednego nie popełnił w życiu portretu.

Na obecnej wystawie jest ich także sporo, ostatnimi czasy przesunęło się ich nawet mnóstwo, ale wszystkie przeszły bez wrażenia. Z ostatnich portret własny A j d u k i e w i c z a, posiadał najwięcej zalet, z wystawionych obecnie portret własny G i e r y m s k i e g o świadczy, że malarz ten jest — co zresztą dawno wiadome — w każdym kierunku znakomitym. Portret Gierymskiego ma to do siebie, że się go wciąż widzi, prześladuje on po prostu, czuje się go w sali, jakby obecność żywej osoby, pamięta zaś długo, prawdopodobnie na zawsze. Wydaje mi się, że to właśnie jest największą zaletą portretu.

Nie można tego wcale powiedzieć o portretach p. K r z e s z a, malarza zdolnego i z prawdziwem zamiłowaniem sztukę uprawiającego. Dwa portrety męskie, z których jeden zyskał nawet w Salonie paryskim *mention honorable*, są sztywne i mają oba jakiś dziwny ton czekoladowy. Portret zaś młodej damy, w postawie stojącej, w sukni żółtej, jest jakby brudny, lubo szczegóły niektóre malowane bardzo poprawnie. Wolę widoki nadmorskie p. Krzesza z Monte Carlo, z niebem szafirowem, głębokiem i pieniącem się morzem, lub scenę wiejską przy studni, w której chłopak dworski wiodący konie, umizga się do ładnej ukraińskiej dziewuchy. W malowaniu koni królują zawsze jednak niepodzielnie stary K o s s a k i K o w a l s k i - W i e r u s z. Pierwszy wystawił pysznego gniadosza, na którym siedzi wyścigowy dżokej w kolorach, drugi zaś obraz średnich rozmiarów, zatytułowany »Promyki słońca«. Na murawie, przy zapadających promieniach słońca, usiadł chłopak i dmie w fujarkę, a musi z niej wydobywać tony rzewne i pieszczotliwe, bo siedząca obok dziewczyna wpiła w niego parę czarnych oczu i zasłuchała się w tę muzykę całą duszą. Opodal pasą się na ściernisku konie, szczypiąc trawę. Nie potrzebuję dodawać, że konie malowane i rysowane wybornie.

G e r s o n wystawił dwa widoki tatrzańskie, w których uniknął mglistych tonów fioletowo-pomidorowych, jakimi się odznaczają jego obrazy historyczne. Obok tych znajduje się obrazek jego pędzla »Doktor«, ale powodując się szacunkiem dla profesora warszawskiego, wolę o nim zamilczeć.

Dobre studjum wystawił p. P i l i c h o w s k i, który wymalował »Lektorkę«, młode dziewczę w oświetleniu lampy, przysłoniętej umbrą. Z trudności sobie zadanych wyłamał się p. P. wcale tęgo, a należąc do artystów niesłychanie pracowitych, pokona niewątpliwie niejedną jeszcze techniczną przeszkodę.

Do ludowych tematów przerzucił się p. S t a s i a k Ludwik, malarz znany z talentu i niezwykłej płodności, oraz zbyt pospiesznego malowania obrazów. Obok kilku pejzaży, wystawił p. Stasiak »Rybaczkę z Melsztyna« za której rysunek otrzymał niedawno na konkursie »Tygodn. illustr.« pierwszą nagrodę, jakoteż »Powrót z jarmarku«. Obie postaci kobiece malowane są wybornie, całość psuje chłop w środku stojący, figura mniej szczęśliwie pomyślana, jakoteż plama na tle u góry, pochodząca prawdopodobnie z zamalowanego jakiegoś portretu, który pierwotnie na tem samem znajdował się płótnie.

Widoków znajduje się na wystawie mnóstwo. Ponad wszystkimi znowuż jednak króluje G i e r y m s k i, którego wspaniały obraz, przedstawiający Sekwanę w oświetleniu nocnem, potężne prawdziwie robi wrażenie.

P. Ł u s k i n a zna wybornie epokę Stanisława Augusta. Obraz jego przedstawiający »Wieczory czwartkowe«, przenosić się nas zdaje żywcem w te czasy, kiedy to rozpustny król uspakajał rozstrojone swoje nerwy pogadankami na temat filozoficzny i mecenasowaniem sztuk pięknych. Obraz p. Ł. posiada dużo ekspresji i gdyby dama, siedząca na pierwszym planie więcej nieco posiadała wdzięków, czyniłby niewątpliwie bardzo miłe wrażenie.

Przepysznie malowany obrazek, wystawił p. K o z a k i e w i c z, przedstawiający »Targ w Wieliczce«.

Obok tych spotykamy na wystawie mnóstwo utworów mniejszej lub większej wartości, jak krajobrazy Jasińskiego, Grabińskiego, Nałęcza Koernera, Kappisa, akwarele Augustynowicza

Jankowskiego i wiele innych, którzy raczą wybaczyć, iż pracom ich na razie więcej miejsca poświęcić nie mogę.

Rzeźbę reprezentuje p. Mieczysław Z a w i e y s k i, który wystawił szereg biustów marmurowych. Prace p. Z. to mają do siebie, że o talencie ich twórcy nie można sobie należytego wyrobić wyobrażenia. Jedne od drugich różnią się częstokroć bardzo pod względem wartości. Czemu to należy przypisać, nie wiem, w każdym razie powód jakiś ważny być w tem musi.

Dla miłośników sztuki wreszcie, będzie może pożądaną wiadomością, że na wystawie obecnej znajduje się sześć szkiców rysunkowych Matejki, które zgasły mistrz ofiarował na korzyść funduszu dla »głodnych dzieci«. Można przyjść zatem łatwo do pięknej pamiątki, spełniając równocześnie dobry uczynek.

Stanisław Błotnicki.

MÓJ OJCIEC.

Opowiadanie L. K. Lazarevic'a.*)

Miałem wówczas zaledwie lat dziewięć, nie wszystko więc sobie przypominam, lecz opowiem to, com zapamiętał. Starsza moja siostra wie o tem również, brat jednak młodszy — ani słowa. Nie głupim mu mówić! Dużo i matka mi opowiadała — później, kiedy dorósłszy, rozpytywał ją o to. Ojciec wszakże uparcie zawsze o tej sprawie milczał.

Ubierał się nasz ojciec z turecka. Stoi mi przed oczyma strój jego: „dżemadon“ (rodzaj koszuli) z czerwonego jedwabiu, z kilku rzędami złotych sznurów; na nim oszyta skórą sukmana („ciurcze“) z zielonego sukna; pas skórzany do broni („siłaj“) wyszywany złotem; za siłaj zatknięty pistolet i nóż w srebrnej pochwie o rękojeści z kości słoniowej; na siłaju długi pas jedwabny zwany trambolos, którego frędzle zwieszają się u lewego boku. Spodnie z jedwabnemi taśmami i szerokie kamasze, do połowy okrywające nogę w białej pończosze i płytkich trzewikach. Na głowie fez, nieco na bakier do lewego ucha, w ręku długi cybuch z bursztynem pod pasem, z prawej strony kapciuch wyszyty złotem i szklanemi paciorkami. Strojniś prawdziwy!

Co do charakteru... jest to wprawdzie mój ojciec rodzony, lecz skorom raz już rozpoczął opowiadanie, nie mogę ukrywać: był to dziwny charakter. Gniew go nie opuszczał prawie. Umiał tylko rozkazywać, a gdybyś nie wypełnił jego rozkazu — biada ci!... Żądał, aby wszystko było tak, jak on chce — nie inaczej i aby nikt w niczem nie ważył mu się sprzeciwiać. Kiedy się rozgniewa, to przeklina, ze aż się wszystko trzęsie. Srożył się z powodu każdej a najmniejszej drobnostki; zasępi się wówczas, gryzie dolną wargę, targa wąs prawy, marszczy brwi, z czarnych jego oczu iskry się sypią. Miałbym się z pyszna, gdybym wówczas przyszedł i powiedział mu, że lekcji nie umiałem! Zupełnie nie pojmuję, dlaczegom się go tak lękał. Przypuśćmy, że uderzył by mię, no to i cóż? Alem się bał tych jego oczu: kiedy niemi błyśnie, mimowoli drżysz, jak osika.

Śmiał się nader rzadko i całkiem nie tak, jak inni ludzie. Pamiętam, pewnego razu trzyma na kolanach małego mego braciszka. Dał mu do

*) Lazarz Lazarewić, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli całkiem nieznanej u nas spółczesnej literatury serbskiej, urodził się w r. 1851 w Szabcu, niewielkiej mieścinie królestwa serbskiego. Po ukończeniu gimnazjum w Belgradzie, zapisał się tamże do uniwersytetu na wydział prawny. Atoli pociąg, który czuł ku naukom lekarskim, zmusił go do opuszczenia Serbji i udania się na uniwersytet do Berlina. Otrzymawszy stopień doktora medycyny, powrócił do kraju, osiadł w Belgradzie i wkrótce, jako zdolny lekarz, zdobył sobie uznanie w szerokich kołach publiczności stołecznej. W r. 1879 w czasopiśmie »Srpska Zora« zjawiło się jego opowiadanie »Prvi put s ocom na jutrenie« (Po raz pierwszy z ojcem do kościoła), które wywołało wielkie wrażenie. Z radością witała publiczność serbska młodego, obiecującego pisarza, a pierwszy ten utwór jego został niebawem przełożony na wszystkie niemal języki europejskie. Po tej pomyślnej próbie wystąpił Lazarewić z powieścią większych rozmiarów „Szkolny obraz“ («Szkolska ikona»), w której przedstawił losy młodej córki plebana wioskowego na tle patrjarchalnego bytu dawnego sioła w Serbji. Główne osoby działające w powieści, jak stary pleban, jego żona, córka ich Mara, udały się wybornie. Są to postaci tryskające życiem, a odmalowane z humorem i do tego językiem rzadkiej piękności. Sława młodego powieściopisarza wciąż rosła. W latach 1881, 1882 miesięcznik belgradzki »Otadżbina« (»Ojczyzna«) zamieścił cztery powiastki Lazarevića, z których jedna tylko jest osnuta na tle stosunków sfery inteligentnej; wszystkie inne malują życie ludu. Złożył w nich Lazarewić dowody wielkiej znajomości bytu, charakteru i obyczajów wieśniaka serbskiego. Z tego względu utwory Lazarevića mają wartość ścisłych studjów etnograficznych. Po sześcioletniem milczeniu, w r. 1888 napisał Lazarević obraz fantastyczny »Wiatr« (»Vetar«), ustępujący jednak znacznie pod względem artystycznego wykończenia pracom poprzednim. Ostatni jego utwór p. t. „On wszystko wie“ (On sve zna“) otrzymał w r. 1890 nagrodę 500 dynarów, wyznaczoną przez wydział literacki Akademji Umiejętności w Belgradzie za najlepszą nowelę. Tegoż roku zgasł Lazarević w Belgradzie, zgasł, jak i przeważna większość wybitniejszych pisarzy serbskich — z suchot.

Przyp. tłum.

zabawy zegarek, a mój Dziokica chce koniecznie wetknąć zegarek do ust ojca i krzyczy w niebogłosy, że się usta nie chcą otworzyć.

My z siostrą aż się pokładamy ze śmiechu, i ojca śmieszyło to zapewne: rozwarły mu się nieco usta z lewej strony, jednocześnie około lewego oka skóra mu się nieco zamarszczyła. I to już było rzadkością niezmierną: ojciec śmiał się w ten sposób nawet wtedy, gdy się zdarzyło coś takiego, od czego inni omal nie pękali ze śmiechu...

Kiedy umarł mój stryj, z którym ojciec do spółki prowadził wszystkie interesy, i którego bardzo kochał, wszyscy my — ciotka moja, matka, dziatwa — w pisk, krzyk, płacz, a mój ojcec, jak gdyby nic się nie stało — ani łezki nie uronił, ani się zasępił. Tylko, kiedy ciało wynoszono z domu, zatrzęsła się ojcu nagle dolna warga i drgała, drgała... Oparł się o drzwi, blady jak chusta i milczał.

Co powiedział, nie cofał tego za nic i nigdy, chociażby sam potem powiedzianego żałował. Przypominam wybornie chwilę, kiedy wypędził Prokę ze służby. Widać było, że go żałuje, ale słowa odwołać nie chciał. Ze wszystkich sług tego Prokę lubił najbardziej. Raz tylko jeden uderzył go za to, że, tocząc z beczki rakję, źle zatknął czop i z tego powodu zmarnowało się dużo napoju. Nigdy go więcej ani palcem nie tknął. Ufał mu we wszystkiem, posyłał go na wieś po pieniądze do dłużników itd. A wiecie za co go wypędził? Za nic, ujrzał go grającego w „krajcara“. Stało to się tak. Przyszedł Proka w dzień św. Jerzego do sklepu, aby odnowić umowę z ojcem. Ojciec wyjął dziewięćdziesiąt groszy i mówi:

— Masz, oto ci zapłata! Niepotrzebnyś mi więcej, idź, poszukaj sobie takiego miejsca, gdziebyś mógł dowoli zabawiać się w krajcara!

Proka nasunął fez na oczy, gorzko zapłakał i począł przepraszać. Ojciec był wzruszony, widziałem to doskonale, ale myślicie może, że mu przebaczył? Gdzie tam! Wyjął tylko jeszcze dukata i podając mu, rzecze:

— Masz, i nogi za pas!

Odszedł Proka, a ojciec stracił najlepszego swego sługę.

Nigdy nie żartował ani z nami dziećmi, ani z naszą matką. Nie można powiedzieć, aby ją — jak to się zdarza między ludźmi — bił kiedykolwiek. Nie, — ale był względem niej chłodny, gniewliwy, opryskliwy gorzej, niż obcy. Nigdy z nią razem nigdzie nie wychodził, ona zaś nie śmiałaby go nawet oto prosić. Nie znosił, aby się wtrącała do handlu, lub innych jego interesów. Odzywa się doń matka dnia pewnego:

— Dymitry, dlaczego nie chcesz dać Stanojowi rakji? wkrótce będziemy już mieli nową, gdzież ją po...

Lecz ojciec wnet krzyknął:

— Czyś głodna, albo ci brak czego? Pieniądze są w twych rękach, a jeślić ich zabraknie, to mi powiedz, ale do moich interesów ani waż się wtrącać!

Trzeba było milczeć.

Z nikim w ogólności długo nie rozprawiał. W kawiarni miał swoje własne towarzystwo i tylko tam trochę więcej czasami rozmawiał. Nadzwyczaj szanował kuma Ilję. Był to jedyny człowiek, który mu śmiał mówić, co chciał bez ogródki i którego ojciec trochę się nawet lękał. Nas dzieci i naszą matkę kochał — o tem nie ma co mówić, widać to było ze wszystkiego, ale obchodził się z nami bardzo surowo. Nie mogę sobie przypomnieć, ażeby zdradził kiedykolwiek względem nas jakieś tkliwsze uczucie. Okrywał nas wprawdzie w nocy, gdyśmy czasami zrzucali z siebie kołdry, zabraniał zbliżać się do studni i wspinać się na drzewa. Lecz to jeszcze niczego nie dowodzi. Tak samo postępują i inni ojcowie, lecz kupują oni nadto swym dzieciom i cukierki i papier złocony, i piłki gumowe, które skaczą powyżej topoli...

Do cerkwi chodził ojciec tylko w dzień św. Jerzego, do kawiarni zaś co wieczór. Zaraz po wieczerzy bierze cybuch pod pachę, kapciuch za pas i marsz. Powracał zazwyczaj w lecie o dziewiątej, w zimie nawet wcześniej, zdarzało się wszakże raz po raz i to, że północ już dawno wybiła, a jego niema i niema. Martwiło to biedną moją matkę i siostrę, — ja wówczas wyobrażenia jeszcze nie miałem o tem, co to jest hulanka. Kobiety nigdy nie zasypiały przed jego powrotem, chociażby to było nad rankiem. Siedzą w łóżkach i nie śmią nawet świecy zapalić, bo straszliwie gniewało to ojca, skoro spostrzegł, że w chacie pali się światło. Pewnego razu gdy wrócił późno do domu, słyszałem jak mówił.

— Poco ta świeca o tej porze?

— Żebyś mógł się rozebrać, — Dymitry — odrzekła matka.

— Czy to ja sam nie potrafię zapalić świecy, albo jestem pjany i nie mógłbym jej znaleść?

— Ależ nie, Dymitry, tylko chciałam...

— Czegoś chciała? Chciałaś, aby sąsiedzi myśleli, że trupa mamy w domu?

Jaki tam trup! I sądzicie może, że on to naserjo powiadał? Bardzo on tam dbał o sąsiadów! Ot poprostu nie chciał, aby matka wiedziała, kiedy powraca, więc ze złości nie wiedział co począć. Żądał, aby matka spała nawet wtedy, kiedy jej do snu oczy się nie kleiły. Chodziło oto, aby módz hulać bez troski. Widać, że się poczuwał do winy.

Pijał mało i tylko wino, na rakję zaś nawet spojrzeć nie mógł. Nawet kawę nie bardzo lubił. Cóż tedy robił po nocach w kawiarni, spytacie? Ot, nieszczęście to było — i tyle. Gdyby pił,

byłoby to jeszcze pół biedy. Ale zaraz dowiecie się. Skróciło to mej matce życie o połowę. Płacze bywało tak biedaczka, że się zdaje: oto ma już umrzeć. I poskarżyć się nawet nie ma przed kim.

Pewnego dnia wrócił ojciec bardzo późno do domu. Nic! Nazajutrz to samo. Nikt ani mru-mru. Aż wtem spostrzega matka, że ojciec jest bez zegarka. Przestraszona pyta:

— A gdzież, Dymitry, twój zegarek?

Nasępił się, spojrzał w stronę i powiada:

— Posłałem do Belgradu do naprawy.

— Ależ szedł zupełnie dobrze, Dymitry!

— Zdaje się, że nie jestem ani ślepy, ani głuchy i wiem dobrze, czy zegarek idzie, czy nie.

Cóż miała począć matka? Zamilkła. Skarży się tylko potem przed moją siostrą:

— O ja nieszczęśliwa! Odda on wszystko, co mamy; przyjdzie na starość prać cudzą bieliznę!

Innym znów razem — może była dziesiąta, a może jeszcze i nie było — przychodzi ojciec z kawiarni. Na głowie astrachańska czapka, na piersiach złoty łańcuch grubości palca, za pasem pistolet okuty w srebro, ozdobiony złotem i drogimi kamieniami. Wszedł — i odrazu poznaliśmy, że był w dobrym humorze. Wydobył z zapasa zegarek, chcąc niby zobaczyć, która godzina.

— Matka spytała:

— Czy odegra...?

Lecz zaraz się spostrzegła i poprawiła.

— Czy już zegarek jest naprawiony?

— A naprawiony... — mówi.

— A to co za łańcuch?

— Łańcuch, jak zwyczajnie... — odrzekł, lecz tak jakoś miękko, łagodnie.

— Widzę; ale skąd go wziąłeś?

— Kupiłem.

— A ta czapka? Tylko nasz kasjer ma podobną.

— I czapkę także kupiłem!

— Sprzedał ci ją?

— Sprzedał!

— Za jaką cenę?...

Tym razem jednak ojciec spojrzał tak jakoś z podełba na matkę, że zamilkła.

Począł się rozbierać. Śledzę go z pod kołdry. Wydobył z za pasa zwitek wielkości pięści i rzuca na stół, aż zabrzęczało — samiuteńkie dukaty!

— Masz — rzecze do matki — schowaj to! I wyszedł do kuchni.

Matka wzięła zwitek dwoma palcami, jak gdyby brała brudne pieluszki dziecięce.

— I cóż ja będę robiła z tymi pieniędzmi — mówi do siostry. Przeklęte to! Djabelskie!... Tak samo je djabeł odniesie stąd, jak i przyniósł!...

Widzicie z tego, że nie było tu ani szczęścia, ani porządnego życia. I matkę to bolało i my wszyscy z nią razem mieliśmy krzyż pański.

Niegdyś — opowiadała mi później matka — był to człowiek całkiem inny — a i ja niby przez mgłę, przypominam sobie, jak mię sadzał na kolana, jak robił dla mnie fujarki z wierzby i brał z sobą na łąkę. Lecz — powiada matka — od kiedy zaprzyjaźnił się z tym Miciem, kasjerem, z tym Krstem z ulicy Makewskiej, z tym Albrechtem aptekarzem i jeszcze kilku innymi, wszystko się zmieniło. Ciągle się gniewa. Nie lubi, aby go o coś pytano. Krzyknie zaraz:

— Czy nic innego nie masz do roboty?

(C. d. n.)

Rozbiory i sprawozdania.

Walenty Ćwik; Aleksander Morgenbesser, Czerniowce. Nakładem prywatnym 1893.

Biografję zmarłego w ubiegłym roku »Mohorta kresowego« jak zwano powszechnie Aleksandra Morgenbessera, opracował udatnie p. Chołodecki, znany pod pseudonimem Walentego Ćwika, autor życiorysu Henryka Schmitta. Szlachetną postać pieśniarza-historyka nakreślił Ćwik na podstawie zapisków autora »Obrony Sokołowa«, dokumentów, listów, notatek i podań rodzinnych. Najważniejszem bezsprzecznie źródłem do nakreślenia kolei życia Morgenbessera, był pamiętnik własny wielkiej wagi i wiele materjału dostarczający do historji stosunków Galicji między r. 1830 a 1845.

Dla Ćwika, który miał tak doskonałą sposobność do zbadania tych czasów i późniejszych, jakoteż do zaznajomienia się z rozmaitemi tajnemi nićmi, łączącemi ówczesnych działaczy w związki i tajne stowarzyszenia, gdy kreślił biografję Schmitta, wykorzystanie pamiętnika Morgenbessera naturalnie nie przedstawiało trudności, i dlatego udział Morgenbessera w ówczesnym ruchu nakreślony został z najdrobniejszymi szczegółami. Ta część książki przedstawia największą wartość. W szczegółową ocenę dzieł Morgenbessera Ćwik się nie wdaje, natomiast gorąco się zajął przedstawieniem działalności politycznej Morgenbessera na kresach bukowińskich, jakoteż zasług, jakie położył około rozwoju polskości na Bukowinie i około ustalenia tam wpływu Polaków na sprawy politycznej i społecznej natury.

W ogóle praca Ćwika o Morgenbesserze napisana potoczyście i z wielkim pietyzmem dla zmarłego, ocenia wartość tego człowieka i zasługi jego bez przesady i oddaje należny hołd zasłużonemu tak dobrze około pracy narodowej.

B.

Przegląd pism.

Prace filologiczne wydawane przez I. Baudouina de Courtenay. I. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym im. Mianowskiego. — Tom IV. — Zeszyty 1 i 2. — Warszawa 1892—93.

W najświeższym tomie tego czasopisma przedewszystkiem dwie prace, czyli raczej obszerne monografje zwracają na siebie uwagę. Jedną z nich jest rozprawa S. Korbuta »Wyrazy niemieckie w języku polskim pod względem językowym i cywilizacyjnym« (o której już w zeszłym roku podał »Tydzień« krótką wiadomość), drugą zaś „Uwagi o wersyfikacji polskiej, jako przyczynek do metryki porównawczej“.

Każdy naród, wchodząc w bezpośrednie stosunki z innymi narodami, poddaje tym samym swą mowę bezpośredniemu wpływowi języków, któremi się one posługują. I język polski ulegał w różnych dobach kolejno wpływowi rozmaitych języków. W najdawniejszej dobie wpływowi języka czeskiego, literacko w owym czasie bogatszego i bardziej wykształconego; następnie bardzo doniosły i bezpośredni wpływ poczyna wywierać język łaciński. Kiedy w w. XVI. pod wpływem reformacji rozkwita literatura w języku narodowym, pierwszorzędni prozaicy i poeci nasi naginają język do stylu i składni łacińskiej. Częste wojny i utarczki, jakie Polska prowadziła z Tatarami i Turkami bezustannie od w. XIII. poczynając, najazdy i zagony tatarskie, zabieranie tysiącami jeńców w jasyr, gdzie po kilkanaście lat przebywali — wszystko to wpłynęło nietylko na zwyczaje i obyczaje, ale również na język, który obecnie posiada przeszło 6% wyrazów pochodzenia wschodniego, a w w. XVI. i XVII. miał ich około 18%. Od czasu przyjazdu królowej Bony do Polski (na pocz. XVI. st.) rozpoczyna się wpływ języka włoskiego i literatury włoskiej, który do zenitu dochodzi w w. XVII.

Słynne uniwersytety w Bononji i Padwie przyciągały młodzież polską w znacznej liczbie, stąd też wpłynęło sporo wyrazów włoskich do języka polskiego. Początek wpływu francuszczyzny sięga panowania Henryka Walezego; szerzy się i w XVII. st. za Władysława IV., Jana Kazimierza i Jana III. Sobieskiego, ożenionych z francuzkami; najsilniej się jednak rozpościera na początku w XIX. za wojen Napoleońskich, w czasach legjonów polskich i Księstwa warszawskiego. Atoli żaden język obcy nie dostarczył tylu wyrazów językowi polskiemu, tyle materjału dźwiękowego, który do niepoznania nieraz w ustach ludu się przekształcił i spolszczył, co język niemiecki. Wpływ i oddziaływanie tego języka na język polski nierównie jest donioślejszy, niż innych, popierwsze dlatego, że z żadnego nie przejął on tylu pojęć i wyrazów, które przeszły w ciało i krew języka, powtóre dlatego, że przeważna ich większość przeszła przez usta ludu lub przejęta została w epoce większej siły asymilacyjnej języka i rozgałęziła się przytem w całym szeregu wyrazów pochodnych. Jak się okazuje z badań p. Korbuta, używamy obecnie w mowie potocznej 16% wyrazów pochodzenia niemieckiego. Język polski wraz z gwarami posiada co najmniej około 2000 wyrazów pochodzenia niemieckiego, tj. pomiędzy wyrazami niemieckimi a polskimi zachodzi taki sam stosunek jak między francuskimi a niemieckimi w niemieckim, a wschodnimi, a rdzennie rosyjskimi w rosyjskim.

Praca p. Rowińskiego przedstawia uwagi o wierszowaniu polskiem z punktu widzenia porównawczego. Autor rozbiera kolejno metrykę grecką, rzymską, wersyfikację średniowieczną, romańską, giermańską i słowiańską (tę ostatnią bardzo pobieżnie i niedokładnie), następnie zaś przechodzi do polskiej, którą traktuje drobiazgowo i wyczerpująco. Nie sposób tu podawać treści tej obszernej monografji, przynoszącej mnóstwo rzeczy nowych i nieznanych, to też ograniczymy się do prostego wyliczenia rozdziałów, na które została podzielona najgłówniejsza jej część, traktująca właśnie o wersyfikacji polskiej. 1. Ciągłość dziejów wierszowania polskiego. 2. Polszczyzna jako materjał rytmiczny. 3. Rytmiczność poezji polskiej. 4. Formy wiersza polskiego. 5. Kwestja swojskości wierszowania polskiego. 6. Wiersze zwane miarowymi.

Prof. A. Brückner zaznajamia nas z ciekawemi kazaniami odnalezionemi przez siebie w bogatej bibljotece petersburskiej. Kazania te, pisane w połowie w. XV. są ciekawe nietylko z powodu licznych glos polskich, jakoteż mnóstwa przyczynków bardzo ważnych dla etnografa, mitologa i wogóle dla każdego badacza dziejów cywilizacji u nas, ale również i z tego względu, że przebijają się w nich dość jaskrawo poglądy husyckie ich autora. Wobec bardzo szczupłych danych, jakie posiadamy o ruchu husyckim w Polsce, jestto dość ważny przyczynek do historji umysłowości polskiej.

Z artykułu p. E. Majewskiego dowiadujemy się, że żadna prawie roślina nie posiada tylu nazwisk żyjących w mowie ludu, co kartofel — bo przeszło setkę. P. R. Lubicz w „Przyczynkach do nowego słownika języka polskiego“ daje zbiór prowincjonalizmów przeważnie na Kujawach, w Kaliskiem, Kieleckiem, Lubelskiem, na Podlasiu i w Łomżyńskiem zgromadzonych. P. W. Niedźwiecki rozbiera zajmującą kwestję pochodzenia głosek *jor* i *jer*; p. Kryński usiłuje rozstrzygnąć kilka kwestyj spornych pisowni naszej. Prace p. I. Bystronia i L. Malinowskiego wkraczają w zakres gwaroznawstwa polskiego. Oprócz kilku jeszcze innych prac, które mogą już tylko fachowych specjalistów - filologów interesować, znajdujemy w każdym zeszycie sprawozdania z dzieł nowych oraz obszerną bibljografję.

L. Wasilewski.

Z RUCHU LITERACKIEGO.

Bartoszewski Witold dr. Prawo kościelne katolickie — (O budowlach kościelnych; O metrykach; O zakonach) Lwow, 1894, str. 35, 99 i 119 złr. 3.

Bartoszewski Witold dr. Odpowiedź moim krytykom I. Księdzu Fijałkowi. — Lwów, 1894, str. 8.

Gruszecki Artur. Tuzy Powieść współczesna. Warszawa, 1894, str. 501, złr. 2.80

Jacolliot L. Tajemnice Afryki przełożył z francuzkiego Karol Jurkiewicz, wyd. 2-gie. — Warszawa, 1894, str. 451 z 32 ilustracyami. W oprawie złr. 3·70.

Poezye przez El..y. T. IV. — Kraków, 1894, str. 337, złr. 2.

Ujejski Kornel. Melodye Biblijne. Wiersze różne. — Przemyśl, 1893, str. 102 i 197. W oprawie złr. 1·10.

Zawiliński Roman. Przyczynek do etnografii górali polskich na Węgrzech. (Osobne odbicie z t. XVII. Dz. II. Zbioru wiadomości do Antropologii kraj. Akademii Umiejętności w Krakowie.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.